



JULIA FIEDORCZUK

Każdy śnił swój sen


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JULIA FIEDORCZUK

Każdy śnił swój sen

Dekompozycja rządziła w ostatnim sezonie, już po prostu wszyscy, wszyscy trąbili o tym samym: warsztaty z *undoingu*, kursy twórczego wymazywania, plastikożerne grzyby. Jak przerobić coś na nic, zastanawiali się naukowcy i artyści wszystkich dziedzin, a także wszelkiej maści dyletanci. Jak, w jaki sposób i *w jakim stylu* przywrócić pustkę, unieważnić takie czy inne dzieło ludzkich rąk czy maszyn. I zrobić miejsce na dzikie. Bo *dzikie* było na topie od długiego czasu — przecież nie mówię niczego nowego. Im czegoś mniej w realu, tym więcej w wirtualu: *zawsze* byliśmy podszyci melancholią. Odkąd przestaliśmy kontaktować się z przyrodą — bo obumierała niemal tak szybko, jak nasze możliwości doświadczenia czegokolwiek, co nie wyświetlało się na ekranie — bez przerwy o niej gadaliśmy. Bez przerwy do niej *wracaliśmy*, a im bardziej wracaliśmy, tym bardziej ona się wycofywała, aż ktoś gdzieś napisał, że jedyne, na czym można w końcu polegać, to rozkład. Dzikie życie, piękne gnicie, nowe pole sztuki. A więc pleśń na portretach ojców tej cywilizacji, rozpad starych płócien, układów scalonych i kości. *Agenci* tego rozpadu. A więc muzyka dzieląca dźwięk na czworo, na ośmioro, jakby to był sznurek spleciony z wielu włókien, z buczenia odległych ciał i ciszy nabrzmiałej zapowiedzią wszelkiej muzyki, także i tej, w której to my bywaliśmy nutami. A więc teatr przerywanych gestów.

Zaskoczyło. Poszło jak wirus.

Najgłośniejszy festiwal dekompozycji, *Zerzetsungfestival*, odbył się tamtej wiosny w Berlinie. Zjechała się ludzkość z całej Europy, żeby obserwować rozpad, uczestniczyć w rozpadzie i celebrować rozkład wytworów swojej cywilizacji — wszystko w poszukiwaniu utraconego momentu prawdy. Mieliliśmy coraz mniej czasu, a na swój pokrętny, wykalkulowany sposób zaczynaliśmy rozumieć: jeśli to, co realne, dotąd nam umykało, to w tym momencie szanse na spotkanie były już naprawdę nikłe...

Sprowadzono mikroorganizmy z czterech stron świata, dzikie i hodowlane — niech jedzą.

Nie pojechałam wtedy do Berlina. Nie przepadałam za masowymi zrywami, nawet jeśli odbywały się w słusznej sprawie. Za to bardzo lubiłam te momenty, kiedy moje miasto pustoszało i cichło: długie, wiosenne weekendy, upalne sierpień, mundiale. Włóczyłam się wtedy po parkach, zatrzymywałam tu i tam, przypatrywałam jakimś szczegółom krajobrazu albo sklepowym witrynom. I robiłam notatki. Pisałam ołówkiem w notesie, uważnie kaligrafując litery, jakby od dokładności tego mojego zapisu zależały losy świata. Przez całe lata właśnie tak spędzałam wolny czas: gapiąc się na to czy inne skrzyżowanie, obserwując pasażerów wsiadających do wagonu metra, wrony kołujące nad koroną drzewa albo mrówki transportujące truchło jakiegoś chrabąszcza. A potem próbowałam to wszystko zapisać, ślęcząc nad notatnikiem jak średniowieczny skryba, jak jakaś samozwańcza kronikarka trzeciego i czwartego planu. Miałam chyba nadzieję, że w ten sposób nauczę się czegoś od świata, a dawniej wierzyłam, że pewnego dnia z tych chaotycznych zapisków wyłoni się jakaś całość: wielki, płynący jak rzeka poemat albo powieść z tysiącem przerastających się wątków, napisana przez samo życie koronkowa saga ze światłem prześwitującym pomiędzy splotami. Jednak mijały miesiące i lata, a moje zapiski, martwe ołówkowe ślady na papierze z recyklingu, nie ożywały.

Kiedy starzy i młodzi wyjechali do Berlina, wrzuciłam do wysłużonej płóciennej torby moje notatniki i ołówki i jak zwykle wyszłam na miasto. Starłam się nigdy nie pokonywać dwukrotnie tej samej trasy. Meandrowałam. Wpadłam na pomysł, żeby każdy spacer podporządkować jakiejś metodzie. Mówiłam sobie na przykład: *podążaj za kolorem czer-*

Ekologia, Przyroda, Sztuka

Miasto

Pisanie, Pisarstwo

Spacer

wonym, a następnie bezwzględnie się do tego zalecenia stosowałam. Bacznie obserwowałam otoczenie i kiedy dostrzegałam czerwień — powiedzmy: frotkę we włosach jakiejś dziewczynki — podążałam za nią, dopóki to było możliwe. Jeśli w polu mojego widzenia nie było akurat czerwieni, czekałam, aż się pojawi. Cierpliwie, jak kura wysiadująca jajko. Pojawiała się w końcu chociażby pod postacią tylnych świateł przejeżdżającego samochodu. Nie mogłam oczywiście biec za samochodem, ale przez pewien czas, aż do następnego znaku, szłam w wyznaczonym przez niego kierunku. Powtarzałam te ćwiczenia wiele razy, jednak odpowiadało mi tylko milczenie: intensyfikowałam poszukiwania, ale rzeczy, rośliny, zwierzęta wycofywały się w głąb swoich tajemniczych, obcych form istnienia. Im bardziej moje oczy kleiły się do świata, tym bardziej on się oddalał, zamazany wydzielinami mojej czułości. W końcu miałam wrażenie, że widzę już tylko samą siebie — jak w wielkim, kleistym gabinecie luster. Zamknęłam oczy. Było mi gorąco.

Wróciłam do domu i położyłam się spać. We śnie niespodziewanie pojawił się P. Powiedział jedno zdanie: *tylko ktoś absolutnie wolny może być absolutnie wolny*. To było w jego stylu, naprawdę mógł coś takiego powiedzieć, i kiedy się obudziłam nie byłam wcale pewna, czy pamiętam te słowa ze snu, czy z którejś z naszych dawnych rozmów o życiu i sztuce. Myślałam i myślałam. Nie wyszłam tamtego wieczoru na miasto, zamiast tego przeglądałam stare notatki, błąkałam się po zagraconym mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Znalazłam za to schowaną za rzędem książek paczkę papierosów, zapaliłam. Zakręciło mi się w głowie, wróciły wspomnienia. Ponownie wzięłam do ręki telefon i zanim obleciał mnie strach, wybrałam numer.

P. był prawdziwym, stuprocentowym artystą. Należał do prekursorów dekompozycji, a właściwie można bez przesady powiedzieć, że był jednym z twórców tego trendu. Kiedy się poznaliśmy, najbardziej na świecie interesowały go alternatywne formy pochówku. Na pytanie: „co robisz?”, odpowiadał — „rozkładałam mięso”, co w tamtych czasach przeważnie budziło w jego rozmówcach sporą konsternację, ale mnie się spodobało. „Jakie mięso?” — spytałam, kiedy przedstawił się w ten sposób. „Na razie przeterminowane z supermarketu. Docelowo — ludzkie”. „To” — dodał poklepując się po klatce piersiowej i udach i szczerząc zęby w radosnym, prawie figlarnym uśmiechu. Studiował zwyczaję pogrzebowe z całego świata i barwnie opowiadał o indonezyjskich niemowlętach chowanych w kauczukowych drzewach, aby rosnąć razem z żywym grobem, mogły osiągnąć nieba, albo o wieżach milczenia, na których zoroastrianie zostawiali zwłoki bliskich na pożarcie sępom, albo o boliwijskich czaszkach, którym żywi starali się przypodobać na różne sposoby — a to wciskając papierosa pomiędzy zęby, a to obsypując je kwiatami. Ale sam nie miał w sobie nic a nic z umarlaka, a jego ciało — o czym wkrótce miałam okazję się przekonać — było nie tylko żywe i młode, ale też piękne, silne — i czułe.

— Leda? — mój głos w słuchawce wyraźnie go zaskoczył. Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedy otworzyła się puszką Pandory — bo w miłości przeważnie w końcu się otwiera — zaczęliśmy, jak to się eufemistycznie mówi, „oddalać się od siebie”. Nigdy ze sobą ostatecznie nie zerwaliśmy, zamiast tego po kolei paliliśmy wszystkie mosty łączące oba światy, aż w końcu nie było którędy chodzić, nie było gdzie się spotkać — więc przestaliśmy próbować. Powiedzieliśmy sobie, że potrzeba czasu. Że któreś odezwie się pierwsze, kiedy będzie gotowe. Mijały jednak miesiące, żadne się nie odezwało; w ten sposób zleciały dwa lata, a ściślej mówiąc — dwa lata i pięć dni...

— Gdzie jesteś? — spytałam po prostu, kiedy węzeł w gardle odpuścił.

— U siebie — odpowiedział. — Jak zwykle.

— Nie w Berlinie?

— Nie lubię być tam, gdzie wszyscy.

Na to liczyłam.

— Sam czy z kimś? — wypaliłam prosto z mostu.

— Sam. Co proponujesz?

— Pozasłaniaj okna — powiedziałam. — Nie zapalaj światła. Czekaj mnie w ciemności.

Nie był na nie.

W początkach naszego związku, kiedy wydawało się, że dopiero rozpoznajemy teren, po którym mieliśmy się wspólnie poruszać, wyjechalśmy do Hiszpanii. Było późne lato, wszyscy mówili o zbliżającej się katastrofie, o plastiku w oceanach i topniejących

lodowcach, o nadchodzącej suszy i wielkim wymieraniu gatunków, ale nikt nie brał tego gadania na serio, sądzę, że my też. P. był wtedy na fali, od pewnej kultowej galerii otrzymał zaproszenie do uczestnictwa w projekcie artystycznym, który miał trwać jakieś dwa tygodnie, a wcześniej przez pewien czas zbierał do specjalnego pojemnika ścinki swoich i moich paznokci, włosy z dna wanny, cokolwiek obumarło i odpadło od naszych ciał. Chodziło o pokazanie życia i śmierci jako dwóch nierozdzielnie ze sobą związanych aspektów jednego procesu — jak dwie strony kartki, awers i rewers, wewnątrz i zewnątrz, o ile dobrze rozumiałam. Zamieszkaliśmy w hotelu z widokiem na morze, z tarasem, skąd nocami obserwowaliśmy spadające gwiazdy. Późnym rankiem P. wychodził pracować przy swoim projekcie, ja zostawałam w pokoju. Miałam czas dla siebie — dużo czasu. Spałam, śniłam, plażowałam, czytałam albo wychodziłam powłóczyć się po mieście. Najchętniej oczywiście to ostatnie: przyglądałam się wtedy ludziom, miejscowym i turystom, przysiadłam w kawiarni i jak zwykle robiłam szczegółowe notatki.

Zabawa polegała na tym, że przed wyjściem zostawiał mi instrukcje: „załóż tę zieloną sukienkę z kokardą na biodrze”, „Czekaj w wannie” i tak dalej. Każdego dnia cieszyłam się na wykonywanie tych poleceń i na wieczór, który potem następował. Podlegałam władzy tych liścików, ale tylko do pewnego stopnia, bo kiedy przychodził P., to ja stawałam się panią sytuacji — władczynią naszych słodkich godzin. Słońce zachodziło po stronie lądu, rzucając na morze miodowy blask, po zmierzchu szliśmy popływać, a następnie jedliśmy kolację w którejś z małych, klimatycznych restauracji, za każdym razem jak mantrę powtarzając słowa: „jak to dobrze, że nie wylądowaliśmy w jakimś turystycznym kolchozie, tylko właśnie tu, gdzie jest tak pięknie, tak jeszcze prawdziwie”.

Niektóre z tych karteczek od razu przepadły, zwyczajem drobnych przedmiotów, wpadając w sobie tylko znane szczeliny w istnieniu. Kilka przechowałam: martwe atramentowe ślady na kremowym papierze.

Zapamiętałam szczególnie jedno popołudnie. Rano tamtego dnia P. był trochę smutny, nie bardzo, w sam raz, żeby wszystkie gesty i słowa nabrały dodatkowej wyrazistości i głębi. Instrukcja na karteczce, którą wcisnął mi do ręki, wychodząc do swoich bakterii, była zwięzła i prosta, i brzmiała: „bądź naga”.

Ściskając liścik w dłoni, poszłam na długi spacer nad morze. Czulałam mrowienie, coś we mnie w środku musowało. Ale entuzjazm mieszał się z lękiem, bo nieszczególnie lubiłam swoje ciało, byłam jedną z tych kobiet, o których mówiono: „nie jest piękna, ale ma coś w sobie”. To „coś” miało rzekomo związek z moimi oczami, więc nauczyłam się tego używać, nauczyłam się udawać, że wcale się nie boję — do tego stopnia, że czasem to inni bali się mnie, tych moich rzekomo wyjątkowych oczu, ich niezwyklej — jak mi mówiono — intensywności. W ten sposób udawało mi się odwrócić uwagę od całej reszty, mimo to reszta stale mi trochę ciążyła.

Bądź naga: mało wymyślna, ale głęboko poruszająca instrukcja, swoją prostotą zmieniająca dotychczasowe reguły gry, otwierająca nową przestrzeń spotkania. Włóczyłam się dłużej niż zwykle, aż wychodziłam cały strach. A kiedy po kilku godzinach wróciłam do pokoju, zastałam tam prezenty: bukiet białych alcatrazów, butelkę musującego wina i koszyk świeżych fig. Oglądałam te skarby z radością, od której udało mi się do reszty zapomnieć o obawach. Figi były tak dojrzałe, że dołem wyciekał z nich sok, gęsty i słodki jak miód. Nie mogłam się powstrzymać i od razu jedną zjadłam, stojąc na środku pokoju z torbą na ramieniu. Potem napaściłam sobie wody do wanny i już tylko niecierpliwie czekałam na wybicie godziny siedemnastej, kiedy przyjdzie czas, żeby położyć się na łóżku jak jeszcze jeden prezent — tak to sobie wyobraziłam. I przyszedł ten czas, bo czas, taki czy inny, zawsze do nas przychodził. I przyszedł P. I karmiliśmy się figami, i przenikały się różne postacie słodczy, a kiedy nieco później wyszliśmy na taras, duży wielobarwny motyl usiadł na moim policzku, być może tą słodczą zwabiony. P. usiłował zrobić nam zdjęcie, mnie i motylowi, ale nasz chwilowy towarzysz, być może zaniepokojony nagłym poruszeniem, zerwał się do lotu. Na zdjęciu, które po tamtym wieczorze zostało, widać moją wyrażającą pomieszanie różnych emocji niezbyt atrakcyjną twarz i kolorową smugę w miejscu motylego lotu.

To miał być tylko wstęp, wprawka, pierwsze kroki na nowej drodze, szukanie siebie, początek. Sądziliśmy, że to, co najprawdziwsze i najważniejsze, było dopiero przed nami.

Tymczasem to było właśnie to. Już nigdy więcej nie byliśmy sobie tak bliscy jak tamtego popołudnia, kiedy sądziliśmy, że nic się jeszcze na dobre nie zaczęło.

Wciąż pamiętałam topografię jego mieszkania — dużą, pustą pracownię z ogromnym oknem i tarasem, z fotografiami na ścianach (hodowlę grzybów prowadził w laboratorium, którego używał mu uniwersytet), z książkami ułożonymi w stosy na podłodze, sypialnię z dużym materacem i zaskakująco niewygodną kuchnię, gdzie w okresach emocjonalnej stabilności wykonywaliśmy fantazyjne aranżacje z warzyw, orzechów, suszonych owoców i ziaren. Pamiętałam łazienkę, którą w naszych nie najgorszych czasach wypełniały wonne mikstury a to do kąpeli, a to do masażu, bo P. lubił wszystko, co wiązało się z troską o ciało — to należało do jego sztuki. Te szczegóły nadal były w mojej pamięci bardzo wyraźne. Nadal miałam też klucz. Trzymałam go w pudełku razem z kolekcją starych legitymacji, listów i wizytówek z epoki analogowej. Raz na jakiś czas wyjmowałam, obracałam w dłoniach i myślałam, że powinnam zwrócić go P., jednak w miarę upływu czasu stawało się jasne, że nigdy tego nie zrobię, że zostanie już w tym pudle na zawsze, oddzielony od swojego zamka.

Przygotowując się do wyjścia, starałam się nie patrzeć w lustro. Założyłam luźne lniane spodnie i za duży T-shirt, zależało mi na niewidzialności. Zarzuciłam torbę na ramię, odruchowo wrzuciłam do niej mój ostatni notes i wyszłam. Był maj. Żar lał się z nieba nieprzerwanie od kilku tygodni, od dwóch miesięcy ani kropli deszczu. Kiedy znalazłam się na dworze, w pierwszej chwili zakręciło mi się w głowie. Wszyscy byliśmy na tym etapie trochę odwodnienia, czasy, kiedy woda po prostu lała się z kranu, czasy półgodzinnych pryszniców i zmysłowych kąpeli już się dla nas skończyły, chociaż mówiło się, że to tylko tymczasowy kryzys, który minie, kiedy minie susza, że to nasze „ostatnie ostrzeżenie”. Na skwerze, który mijalam po drodze do stacji metra, rośliny słały się z pragnienia, przekwitłe kwiaty jaśminowców przypominały skrzydełka martwych ciem, kruszyły się w palcach. Ganiłam samą siebie, że znowu patrzę i opisuję, że coś z czymś porównuję, coś do czegoś doklejam, rymuję, *wyróżniam kursywą*.

P. czekał na mnie w sypialni. Znalazłam go, zanim go zobaczyłam, choć po chwili mój wzrok na tyle przyzwyczaił się do ciemności, że chcąc nie chcąc, byłam w stanie wyodrębnić zarys jego sylwetki. Był to jednak tylko zarys, coś jak dowód obecności, bez żadnych zbędnych szczegółów. Bez słowa przysiadłam na krawędzi materaca. Wydawało mi się, że bicie mojego serca słychać w całym mieszkaniu. Położył mi dłoń na udzie, pamiętałam ten gest, choć wcześniej nie wiedziałam, że pamiętam. Gładziłam jego dłoń, badając po kolei wszystkie palce, krótkie okrągłe paznokcie, mocno wypukłe kostki. Powiodłam palcami wzdłuż ramienia, to nadal był on. Znowu byliśmy razem, w tej pierwszej chwili nic nas nie dzieliło, żaden żal, żadne oczekiwania. Pomyślałam, że następnym razem moglibyśmy założyć opaski na oczy: niechby mrok stał się głębszy, bardziej absolutny; zganiłam się zaraz za myślenie o następnym razie.

Rozebrałam się i położyłam obok P. Zamknęłam oczy i spróbowałam poddać się chwili. Opuszkami palców dotknął najpierw mojego czoła, potem powoli przesunął je w dół, rozpoznając moją twarz, wszystkie wypukłości i zagłębienia, dotykając powiek, nosa, policzków i ust. Miałam, jak dawniej mawiał, „złe nawyki”, zaciskałam szczęki, marszczyłam brwi. Dotyk ludzkich dłoni sprawiał mi ulgę, stopniowo zaczynałam się rozluźniać. Szorstkie, lekko spierzchnięte wargi całowały moją szyję, linię obojczyka, zagłębienie między piersiami; ciekawskie, głodne usta. Strach schodził ze mnie warstwami jak wylinka, otwierałam się, stawałam nielita. Przyciągnęłam to drugie ciało mocno do mojego i dalej już one nas prowadziły, ścieżkami znanymi tylko tej ich bezrozumnej wyobraźni. Szliśmy za nimi niemal beztrudnie.

— Zjadłabyś coś? — spytał, kiedy wynurzyliśmy się znowu na powierzchnię. Widziałam, jak w ciemności błyszczą jego oczy, czułam, że się uśmiecha. Ale nie, nie chciałam jeść. Nie chciałam zapalać światła, rozpraszać słodkiego mroku tych chwil; z tego samego powodu odmówiłam, kiedy zaproponował, że mnie odprowadzi. Weszłam tylko do łazienki. Po ciemku przejrzałam się w lustrze. Widziałam kształt swojej głowy i ciemne smugi w miejscach, gdzie znajdowały się oczy. Cokolwiek mnie potem zje, pomyślałam — na zdrowie.

Wychodząc, zamknęłam drzwi na klucz.

Wracając do domu tamtego wieczoru, patrzyłam na konstelacje światel w oknach mijanych bloków i od razu próbowałam wyczytać z nich jakiś sens, podobnie jak przed wiekami próbowano odczytać sens z ułożenia gwiazd. Zadarłam głowę, ale niebo nad miastem było zbyt jasne, nic nie zobaczyłam. Wiał gorący wiatr, jak z piekarnika. Nie martwiłam się tym, bo akurat nie umiałam. Byłam syta, otulona zapachem ciała, szczelnie zamknięta w chwili, bezpieczna.

Przychodziłam do P. jeszcze wiele razy; umowa zawsze była taka sama: zaciągnięte zasłony, całkowita ciemność. Akceptował tę rutynę albo rozumiał, że nie podlega negocjacjom. Czasem wysyłaliśmy sobie jakieś dodatkowe instrukcje esemesami („przyjdź ubrana w zapach cynamonu”). Mało rozmawialiśmy, a jeśli już, to tylko o tym, co tu i teraz, nie o suszy, nie o polityce. Przeszłość opowiadaliśmy sobie ciałami. W naszych pieszczołach odnajdywałam skrawki dawnych przeżyć, widocznie przez cały czas nosiłam je w sobie, niewidzialne, i teraz taki czy inny gest wywoływał wspomnienie dawnej rozmowy, miejsca, zapachu rozgrzanej żywicy unoszącego się nad spokojnym morzem, kryształków soli na rzęsach. Stare historie rozpadały się na obrazy, pod wpływem bieżących doznań wykruszały się dawne znaczenia, odpadały od nas jak zrogowaciały naskórek. Im głębiej w siebie wchodziliśmy, tym więcej odkrywałam — siebie i nie-siebie. Bo w dotyku, zapachu, w ciemności odnajdywałam także ślady innych ciał: zachłannie odczytywałam wszystko, co zapisało się w jego ruchach, to, co od nich wziął, mieszałam się z nimi i zlewałam w jedno; chciałam, aby cudza rozkosz ożywała we mnie i kwitła, żeby wyciekała ze mnie jak słodycz nabrzmiałego od słońca owocu figi. Chciałam już siebie nie mieć, nie mieć swojego imienia.

— Przyjdiesz znowu jutro?

— Jutro nie. Pojutrze.

Przejrzałam się w ciemnym lustrze, chciałam wierzyć, że staję się niewidzialna. Cokolwiek mnie teraz zjada — smacznego.

Zakwitły lipy i prawie natychmiast przekwitły, nie zdążyliśmy poczuć ich miodowego zapachu. Pewnej nocy, kiedy szłam wzdłuż niegdyś ulubionej, wysadzanej lipami ulicy, silny wiatr strząsnął z nich żółte liście i zbrazowiłe, spalone słońcem kwiaty. Nastąpiła dziwna, gorąca, oderwana od swojego czasu jesień. Suchy deszcz padał na mnie, a ja próbowałam łapać go w dłonie jak dziecko.

Coraz gorzej spałam, całe moje śnienie odbywało się teraz na jawie, więc dużo nocami chodziłam, jeszcze raz i na nowo odkrywając moje miasto, jego wyschnięte parki, anachroniczne pomniki, szemrane zaułki na tyłach głównych ulic. Ustalił się nowy rytm: wracałam do domu o świcie, przez kilka godzin przewracałam się w pościeli, zapadając w krótkie, przerywane drzemki. Późnym rankiem, nie wychodząc z łóżka, włączałam komputer, wpisywałam w wyszukiwarkę hasło dekompozycja i sprawdzałam, co nowego słychać w tym temacie. Przeczytałam: *Ostatecznej dekompozycji największej części materii organicznej wyprodukowanej w biosferze dokonują destruenci, czyli organizmy odżywiające się martwą materią organiczną i dokonujące jej częściowej lub ostatecznej mineralizacji*. Stać się kamieniem — to jest jakaś opcja? Pogłębiała się susza, berliński festiwal przedłużał się w nieskończoność, a moje seanse z P. stawały się coraz ciemniejsze, przynosiły głęboką, bolesną rozkosz, po której czułam się oczyszczona, niemal przezroczysta. Nosłam już tylko stare, wypchane na kolanach spodnie od dresu i za duże podkoszulki, mój wzrok prześlizgiwał się po rzeczach i prawie już nie prowadziłam zapisków.

Którejś nocy własnoręcznie obciąłam cienkie włosy koloru mysiego futerka — obciąłam je na jeża, a końcówki zmiotłam i zapakowałam do reklamówki; pomyślałam, że sprezentuję je mięsożernym podopiecznym P. Ucieszył się, spodobała mu się również moja przemiana — badania, które prowadziliśmy w naszej ciemnej alkwie, tamtej nocy nowego wigoru. Ciało miałam potem obolałe, ale duszę lekką.

Którejś z następnych nocy wpadłam na P. przypadkiem na peronie metra. Był to prawdziwy szok zobaczyć go nagle, kilka godzin po tym, jak dotykaliśmy się w ciemności. W ledowym świetle stacji wydał mi się smuklejszy i — nie starszy, ale bardziej zmęczony niż dwa lata wcześniej. Zaczęłam panikować: co powiem? Jak się przywitamy? Jednak niepotrzebnie, bo P. wcale mnie nie zauważył. Patrzył wprost przed siebie, na ekran, na którym wyświetlała się relacja z jakiegoś happeningu, być może właśnie z Berlina. Patrzył bardzo uważnie, był tym patrzeniem całkowicie pochłonięty. Ekran

wypełniała twarz kobiety w dużym zbliżeniu, jej usta poruszały się powoli, wypowiadała jakieś sylaby albo słowa. Nie było dźwięku, tylko ten wyrazisty, precyzyjny ruch warg. Trwało to dość długo, a ja miałam wrażenie, że ona i P. kontaktują się wzrokiem: *mówiła do niego*. Minęłam go bez słowa — znajomą, a jednak całkiem obcą sylwetkę mężczyzny — i oddaliłam się.

Tamtego ranka, kiedy udało mi się na chwilę zasnąć, śniłam o poruszających się wargach kobiety. A kiedy wieczorem poszłam do P., odnalazłam ją w nim bez trudu.

Któregoś dnia P. opowiadał mi o tworzonych przez pewną artystkę obrazach z bioluminescentnych bakterii. W miarę jak bakterie się namnażają, meandrujące linie zaczynają świecić, a kiedy umierają, obraz po prostu gaśnie: „Życie i śmierć, światło i mrok, dosłownie, żadna metafora”.

— *Tylko ktoś absolutnie wolny może być absolutnie wolny* — wypaliłam ni z tego, ni z owego.

— Ciekawe — odpowiedział.

I zaraz pociągnął dalej tę myśl: potrzebny jest skok, zerwanie wszystkich więzi, porzucenie wszystkich nawyków, moment absolutnego ryzyka. Pamiętasz tamten kawałek z pingwinem, który oddala się od szeregu towarzyszy, porzuca cały ten cholerny marsz i ginie w śniegu?

— Aberracja? Samobójstwo?

— ...albo cząstki elementarne zachowujące się na przekór temu, co przyjęliśmy uważać za prawa materii. Absolutne ryzyko, wyjście poza skrypt. Zerwanie. Skok w nieograniczone możliwości.

Myślałam potem o niewidzialnych: o zmarłych, którzy wracają, chociaż ich nie pamiętamy, o algorytmach regulujących treści pobierane z sieci, mikrowłóknach plastiku nadpisujących komunikaty ludzkich hormonów. Był czas, kiedy martwiliśmy się o toksyny — w powietrzu, wodzie, jedzeniu i glebie; *detoksykacja* była słowem-kluczem, fundamentalnym rytuałem, jak egzorcyzm; trucizny — *niewidzialne* — straszyły jak duchy, nie pozwalały zrelaksować się i odetchnąć; do tego *jeszcze toksyczne emocje*... Przyjaźniłam się wtedy z pewnym poetą. W apogeum detoksykacyjnego szaleństwa zdecydował się na przebadanie składu chemicznego swojego organizmu, testy wykazały obecność licznych substancji o złowrogich nazwach, napisał o tym piękne wiersze — o swoim chemicznym *ja*, o niepokoju, który towarzyszył badaniom, i rojeniach na temat czystości. Każdy moment ma swojego artystę, jestem przekonana, że tamten poeta był artystą tamtego momentu, to jeszcze zostanie odkryte.

Chciałam opowiedzieć o tym wszystkim P., ale jakoś nie zdążyłam, bo zaraz znowu polowaliśmy na siebie w ciemności i wchodziliśmy w siebie, i gubiliśmy się w sobie i odnajdowaliśmy — kogoś innego?

Nocą pojechałam do centrum. Na głównych placach miasta panował całkiem spory ruch, ludzie próbowali cieszyć się gorącymi nocami, wydawali oszczędności życia na drinki schładzane resztkami arktycznego lodu, tulili się do siebie jak niegroźne, przestraszone zwierzęta. Wypatrywałam P., mógłby tam być, w centrum jakiejś grupki, perorując o życiu i śmierci, wolności i sztuce. Nie natknęłam się jednak na niego. Nieopodal jacyś ludzie śpiewali rzewną piosenkę, przerwał ją brzęk tłuczonego szkła. Chciało mi się pić.

Rano jak zwykle przeglądałam internet w poszukiwaniu nowych przykładów dekompozycji, ale znalazłam coś innego, zadziwiająco piękną pracę przedstawiającą walkę pomiędzy zimą i wiosną, zainscenizowaną przy pomocy mikroorganizmów. Zimą przedstawiały białe jak śnieg ekspansywne stafilocoki i *Bacillus Mycoides*, a wiosną — pałeczki krwawe (*Serratia marcescens*). W zetknięciu z „zimą” „wiosna” zaczynała produkować antybiotyk hamujący namnażanie się stafilocoków. Artystka porównała ich śmierć do topniejącego śniegu. Gdzie się rozpuszczały, tam „zakwitały” jednokomórkowe grzyby. Co za niezwykle, przejmujący sposób na ukazanie ogromnego okrucieństwa wiosny, o którym często pisali poeci: *Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień*...

Podczas naszego ostatniego spotkania P. chciał zapalić świecę. Był uparciuchem i kiedy coś już sobie umyślił, nie było na niego sposobu, więc zgodziłam się w końcu na jedną; obydwie wiedzieliśmy, że to nasz ostatni raz. Świeca pachniała cynamonem. Głębia, którą penetrowaliśmy w mroku, rozproszyła się — jakby nigdy jej nie było. Każde z nas

Przyroda, Sztuka

Ekologia, Sztuka

Ekologia, Katastrofa

Ekologia, Sztuka

zaczynało się i kończyło na skórze. Poraził mnie wygląd mojego ciała — ten dziwny, wytrącony z pustki mięsisty przedmiot wyglądał jak wyrzucony na plażę wieloryb albo nieopierzone pisklą, które właśnie wypadło z gniazda. Kochaliśmy się łagodnie, czule, od razu, na bieżąco, się tracąc, przepuszczając przez siebie wszystkie te niemożliwe do zapamiętania, bezsłowne przygody.

Z jakiegoś powodu ciągnęło mnie potem do centrum. Pewnej nocy, bardzo zmęczona i jakby czymś struta, przysiadłam się do stolika, przy którym grupka zarośniętych ludzi grała w *cadavre exquis*. Grali, a potem już razem graliśmy, według najbardziej klasycznej reguły: przymiotnik, rzeczownik, przysłówek, czasownik. Pamiętam jedno ze zdań: *rześki motyl ślicznie śpi*. Piliśmy coś, a potem coś innego, wszystko zaczęło mi się mieszać, pojawili się jacyś nowi ludzie, ktoś odchodził. Poszliśmy do czyjegoś mieszkania, a potem znowu na dwór, jakimś sposobem dotarliśmy nad rzekę, prawie tego nie pamiętam, pamiętam tylko aromatyczny smak papierosa i jakieś zupełnie bezsensowne strzępki rozmów. Ktoś powiedział: „ukryj się w każdej rzeczy”. Możliwe jednak, że mi się to przyśniło, bo tylko jedno jest pewne — zasnęłam na miejskiej plaży.

Kiedy się obudziłam, było całkiem widno. Czułam potężne pragnienie, próbowałam przelknąć ślinę, ale to bolało. Leżałam na ziemi, wszędzie naszło mi suchych liści i piachu. Powoli otworzyłam oczy. Nie miałam odwagi spojrzeć w stronę miasta, z jakiegoś powodu bałam się, co tam zobaczę, więc z początku gapiłam się tylko na niebo, jasne, ale zasnułe delikatną szarawą mgiełką. W końcu usiadłam, bo ile można tak leżeć. Moja płócienna torba leżała nieopodal, wywrócona na lewą stronę, a parę metrów dalej jakiś chudy pijaczyna, kucając, w skupieniu studiował mój notes. Pozostałych rzeczy — telefonu, portfela, zestawu ołówków — nie było nigdzie widać. Przeszukałam kieszenie — znalazłam tylko klucz.

Mijając pogrążonego w lekturze człowieka, powoli zeszałam do rzeki. Bolało mnie za oczami, w głowie dudniło, jakbym tam miała kamienie. Woda, płynąca nisko w głębokim korycie, pachniała stęchlizną i płynem do płukania tkanin. Niewiele myśląc, a właściwie wcale nie myśląc, zrzuciłam ubranie. Ściskając w dłoni klucz, osunęłam się powoli po betonie. Dokładnie pamiętam ten moment, kiedy zmęczone stopy dotknęły chłodnej powierzchni wody, kiedy się w niej zanurzyły, kiedy potem zanurzyły się łydki, całe nogi i wreszcie całe to moje dziwne, rozgorączkowane ciało. Pełno tam było, w tej wodzie, niewidzialnych rzeczy, a mimo to — piłam. Piłam rzeczną wodę, aż ugasilałam pragnienie, a potem dryfowałam na powierzchni, zastanawiając się, czy jestem niewidzialna. W pewnym momencie klucz — ostatni skarb — wysunął mi się z ręki. A może specjalnie puściłam? Czasem tak trudno odróżnić: skacze się czy spada.

Rzeka, Woda, Klucz

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/fiedorczuk-kazdy-snil-swoj-sen/>

Tekst opracowany na podstawie: Julia Fiedorczuk, *Każdy śnił swój sen*, 2019, wyd. I.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Katarzyna Makaruk.

Okładka na podstawie: Damian Siwiaszczyk@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5735-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.